

Tekst: *Szymon Baron*, zdjęcia: *Szymon Baron, Grzegorz Dziechciarczyk*

Góry Fogaraskie – piękne i niebezpieczne

Pomysł wyjazdu w Karpaty Rumuńskie dojrzał w nas od dłuższego czasu. W końcu, dzięki wielu sprzyjającym okolicznościom, zdecydowaliśmy się na wyjazd w to drugie najwyższe pasmo Karpat pod koniec września, kierując się między innymi stabilnością pogody, tak charakterystyczną dla tego miesiąca.

Wystartowaliśmy rankiem 21 września br., osobno, autostopem – Grzesiek z Chrzanowa, ja z Krakowa, do którego dzień wcześniej dojechałem pociągiem. Mieliśmy się spotkać gdzieś na trasie, lecz *suma summarum* spotkaliśmy dopiero w Przemyślu. Różnica między nami wyniosła zaledwie kwadrans, więc już po chwili podjechaliśmy bussem do Medyki. Przekroczenie granicy przy stosunkowo nielicznych „mrówkach” zajęło dosłownie kilka minut.

Już na Ukrainie wymieniliśmy złotówki na hrywny i najbliższą marszrutką, dość okrężną trasą, dotarliśmy do Lwowa na 5 minut przed odjazdem naszego pociągu. Popędziliśmy więc co sił, aby kupić bilety u konduktora, który odesłał nas do kasy. Grzesiek pobiegł kupić bilety, a ja zostałem z plecakami na schodach pociągu. Zdążyliśmy, lecz okazało się, że bilety wystawione są na następny, odchodzący po godzinie pociąg. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bowiem do Czerniowców dotarliśmy o trzy godziny szybciej aniżeli wcześniejszym pociągiem. Taka już jest Ukraina...

Z Czerniowców do granicy ukraińsko-rumuńskiej dotarliśmy taksówką. Nie sposób było jednak przejść przez nią pieszo, bowiem przejście jest samochodowe, a pogranicznicy średnio życzliwi. Miały tu jednak czekać na nas taksówki rumuńskie, wożące turystów do Suczawy. Niestety, nie czekały. Wydawałoby się, że utknijemy w tym miejscu, lecz na szczęście pozostał autostop. Drugi samochód, kilka energicznych machnięć ręką i już przekraczaliśmy granicę z Victorem, drobnym rumuńskim przemysłowcem w weekendy, w tygodniu nauczycielem wychowania fizycznego w miejscowej szkole.

Pierwszy kontakt z tubylcem mieliśmy więc o niebo lepszy, niż podczas wyprawy w pasmo Świdowca, kiedy to ukraiński milicjant groził nam kontrolą osobistą i „zachęcał” do postawienia butelki wódki. Dodatkowo, nasz kierowca okazał bardzo życzliwym człowiekiem, podwiózł do kantoru, gdzie zakupiliśmy leje, pomógł kupić bilety kolejowe do Ucei przez Braşov, a także zaprosił na śniadanie. Mieliśmy okazję skosztować miejscowej śliwowicy, zwanej tutaj palinką.

Te poranne atrakcje spowodowały, że nie zwiedziliśmy Suczawy, za to najedzeni i wypoczęci ruszyliśmy pociągiem

dalej, na południe, do Braszowa. Dystans 560 km pociąg pokonał w 8 godzin. Do Braszowa dojechaliśmy z dziesięcominutowym spóźnieniem, co omaal nie spowodowało naszego spóźnienia na pociąg do Sibiu – na szczęście mimo braku informacji o odjazdach na poszczególnych peronach, w ostatniej chwili wsiedliśmy do właściwego. Pociąg ten będący nowoczesnym autobusem szynowym po niespełna dwóch godzinach dowiózł nas do Ucei.

W tej niewielkiej miejscowości, położonej niemalże u podnóża Gór Fogaraskich okazało się, że wszelkie połączenia autobusowe, busowe, czy nawet taksówkowe do oddalonej niespełna 10 km dalej Victorii – miejscowości stanowiącej doskonały punkt wypadowy w Fogarasze, zostały zlikwidowane. Nie tracąc czasu stanęli na stopa i już po kilkunastu minutach byliśmy w Victorii. Co ciekawe, większość Rumunów bardzo dobrze włada językiem angielskim, w związku z czym nie mieliśmy żadnych kłopotów komunikacyjnych.

Dlaczego tak wiele miejsca poświęciłem opisowi dojazdu w Fogarasze? Otóż sama podróż jest przygodą sama w sobie, a fakt, że staraliśmy się jak najtaniej dotrzeć do Rumunii może pomóc komuś czytającemu ten artykuł zaplanować wyjazd w te piękne i niebezpieczne góry.

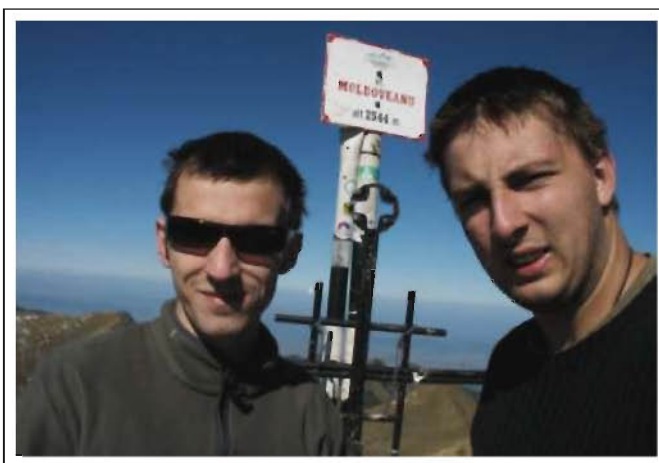
Noc spędziliśmy tuż za Victorią, przy oznaczonym czerwonymi trójkątami szlaku turystycznym.

Rankiem okazało się, że rozbiliśmy się w przepięknym miejscu z widokiem, z jednej strony na najwyższe szczyty Gór Fogaraskich, z drugiej na wrak czołgu. Po śniadaniu ruszyliśmy w trasę.

Pierwsze kilka kilometrów wiodło przez las, a fakt, że szlaki były fatalnie oznakowane sprawiał, że kilkakrotnie musieliśmy się cofać, aby wrócić na właściwą ścieżkę. Dokładność rumuńskiej mapy, którą dysponowaliśmy pozostawiała wiele do życzenia, co powodowało, że kilka razy szlak robił niespodzianki.

Po wyjściu z lasu zrobiliśmy przerwę na posiłek, po czym przystąpiliśmy do najtrudniejszego zadania, jakim było podejście przy różnicy poziomów około dwu kilometrów. Cóż, po wyczerpującej, choć z drugiej strony bardzo taniej podróży, moja kondycja nie była najlepsza. Powoli zdobywaliśmy wysokość, a słońce coraz bardziej chowało się za góry. W końcu wyciągnęliśmy latarki i ostatnie kilkaset metrów pokonaliśmy przy sztucznym świetle. Twardy lód dał nam przedsmak tego, co miało nas spotkać następnego dnia. Tutaj na szczęście ktoś przed nami wyrąbał „schody”, więc bez większych problemów dotarliśmy na przełęcz i dalej do refugia Portita Viştei.

Rankiem wpisaliśmy się do pamiątkowego zeszytu w „refugiu”. Miło było znaleźć wpis kolegów z Mielca,



na szczycie Moldoveanu



którzy byli tu na początku lipca br. (*Co Słyszczać?* - nr 200). Po śniadaniu ruszyliśmy w trasę.

Na początek czekała nas mozolna wspinaczka na szczyt Viștea Mare (2527 m n.p.m.), gdzie dotarliśmy w niespełna pół godziny. Na szczycie zostawiliśmy plecaki i bez obciążenia udaliśmy się najwyższy szczyt zarówno Fogaraszy, jak i całej Rumunii – Moldoveanu (2544 m n.p.m.). Ze szczytu tego znajdującego się w bocznym grzbiecie Gór Fogaraskich roztaczają się przepiękne widoki. Pogoda dopisała, więc mogliśmy podziwiać Fogarasze w pełnej krasie. Również i tutaj znaleźliśmy odznakę Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego – małą nalepkę przyklejoną przez Jurka Krakowskiego w lipcu. Wędrując dalej spotkaliśmy pierwszych ludzi na szlaku – czteroosobową grupę studentów z Krakowa, którzy kończyli już swoją wycieczkę głównym szlakiem Fogaraszy i obdarzyli nas nadmiarowym bochenkiem chleba.

Zeszliśmy na przełęcz Săua Orzănelei, skąd trawersując wraz ze szlakiem szczyty Ucisoara, Ucea Mare oraz Corabia dotarliśmy na przełęcz Săua Podragului. Pogoda zaczęła się powoli załamywać, pojawiły się chmury uniemożliwiające podziwianie widoków na północ od grzbietu, którym wędrowaliśmy. Z przełęczu tej szybko dotarliśmy nad jeziorko Podo Giurgiului, nad którego brzegiem zjedliśmy obiad. Niestety, przywiązanie miejscowych turystów do ochrony przyrody jest tragiczne, więc zamiast rozkoszować się naprawdę pięknymi w tym miejscu widokami, z niesmakiem obserwowaliśmy stopy puszek po konserwach (*Co Słyszczać?* - nr 202).

Następnym szczytem na naszej trasie był Mircii (2461 m n.p.m.). Było już popołudnie i trzeba było zastanowić się, gdzie będziemy nocować. Najbardziej rozsądne wydawało się dotarcie do kolejnego „refugia”, jednakże, jak to zwykle bywa, życie wybrało inaczej. Po dojściu do przełęczu pod szczytem Apașu Mic rozpoczęliśmy fkiem. Nie mieliśmy raków, co spowodowało, że odcinek około 50 metrów pokonywaliśmy pół godziny. Z dołu przyglądała się naszym wysiłkom para z Niemiec, która rozbija namiot niedaleko. Po uwieńczonym sukcesem zejściu poczęstowali nas herbatą. Na szczęście było w tym miejscu płasko i spokojnie mogliśmy rozbić i nasz namiot. Warto zaznaczyć, że w górach Rumunii można spokojnie nocować w namiotach. Spokojnie, o ile nie trafi się na nierzadkie w tych górach niedźwiedzie.

Po śniadaniu następnego dnia ruszyliśmy dalej, co dodatkowo nas utwierdziło w przekonaniu o słuszności noc-

legu w namiocie. Następne kilkaset metrów szlaku wiodło północnym zboczem i było poprzecinane płatami zalegającego tu od lipca lodu, co skutecznie utrudniało wędrowkę. Z góry mogliśmy zobaczyć „refugio Fereastră”, do którego mieliśmy dotrzeć poprzedniego dnia. Spokojnym tempem dotarliśmy nad jeziorko Capra (2249 m n.p.m.). Planowaliśmy jeszcze wejście na Negoiu, jednakże zwyciężył zdrowy rozsądek. Nie mieliśmy raków, bo nigdzie nie znaleźliśmy informacji o pokrywie śnieżnej w Fogaraszach, a wejście na Negoiu wiązałoby się z zejściem niebezpiecznymi północnymi stokami.

Zamiast Negoiu zeszliśmy więc nad przepięknie położone jezioro Bălea Lac, zachodząc przy okazji do mieszczącego się nad nim schroniska. Zjedliśmy popołudniowy posiłek i podjęliśmy męską decyzję, że zaryzykujemy powrót do polski autostopem.

Jak postanowiliśmy tak zrobiliśmy. Jeszcze tego wieczoru

dwoma stopami dotarliśmy do Aratu, położonego w pobliżu granicy rumuńsko-węgierskiej. Mieliśmy tu nielada przygodę, bowiem część Rumunów bierze autostopowiczów za pieniądze i po długiej dyskusji z Cyganami zbiliśmy cenę ze 100 do 20 lei. Następnego dnia kilkunastoma stopami, nie stojąc jednakże nigdzie dłużej, niż kwadrans, przez Węgry, Słowację i Czechy wróciliśmy do Polski. W Bielsku byłem po 22, Grzesiek w Chrzanowie – godzinę później.

Podsumowując cały nasz wypad w Góry Fogaraskie podzielić się muszę paroma refleksjami. Po pierwsze – pomimo, iż Fogarasze są nieco niższe od Tatr, są relatywnie wyższymi górami. Wioski u podnóża tych, najwyższych gór w Karpatach Południowych są położone na wysokości około 300-400 m n.p.m., podczas gdy tatrzańskie Kuźnice leżą na wysokości aż 1000 m n.p.m. Wysokości względne są więc tu większe, co faktycznie daje się odczuć. Po drugie, podczas naszego wyjazdu korzystaliśmy z mapy węgierskiej (wydawnictwo Erfatur), której nikomu nie polecamy – mapa jest strasznie niedokładna. Po trzecie, szlaki u podnóża gór są fatalnie oznaczone i łatwo pomylić ścieżki, zupełnie odwrotna sytuacja jest w partiach szczytowych, gdzie miejscami widzieliśmy kolejnych kilkanaście znaków. Po czwarte, Rumuni są bardzo życzliwym narodem, dobrze władającym językiem angielskim.

W tym roku spędziliśmy w Rumunii zaledwie kilka dni, lecz prawdopodobnie jeszcze nieraz zagościmy w Karpatach Południowych.



kozice na szlaku



Fogarasze w pełnej krasie – na drugim planie Moldoveanu